MyApple magazyn

Nr 4/2015(4)
ISSN: 2080-4776

www.myapple.pl

Disco Polo w Apple Music
Max Pijanowski

Samochód z Cupertino?
Grzegorz Świątek

Nowe danie z drobiu
Red Game od iFun4all

Krystian Kozerawski

Spowiedź „pirata”
Jaromir Kopp

Urok Polaroidów
Daniel Światły

203 mld $ gotówki
54 mld $ długu
...w Apple ubyło pieniędzy

Michał Masłowski

iPod idealny | iPhone - służyć i chronić | Fotografia na urlopie



Środek okresu wakacyjnego wydawać się może tzw. sezonem ogórkowym, czyli takim, w którym nic szczególnego się nie dzieje. Trudno jednak mówić o nim w przypadku Apple. 21 lipca firma przedstawiła swoje wyniki finansowe za miniony kwartał (przypomnę, że był to drugi kwartał roku kalendarzowego, a trzeci roku rozliczeniowego dla Apple). Ich omówienie na gorąco mogliście przeczytać jeszcze tego samego dnia w serwisie MyApple. Michał Masłowski pokusił się jednak o głębszą ich analizę pod kątem posiadanej przez firmę gotówki.

Wciąż aktualnymi tematami są: uruchomiony pod sam koniec czerwca serwis Apple Music, w którym to Max Pijanowski odkrył kilka jego zdaniem „dziwnych miejsc" i właśnie zaktualizowana linia iPodów. Zdaniem Jacka Zięby trudno w tym wypadku mówić o naprawdę nowych urządzeniach (a raczej urządzeniu, bo sprzętowa aktualizacja objęła właściwie tylko iPoda touch, pozostałe modele pojawiły się jedynie w nowych kolorach). Zastanawia się on, jaki powinien być iPod idealny. Nie milkną też pogłoski o pracach Apple nad własnym samochodem. Swoje dochodzenie w tej sprawie przeprowadził Grzegorz Świątek.

Równie aktualnym tematem są oczywiście wakacje i letnie podróże, na których zwykle robi się masę zdjęć, często właśnie iPhonem. Temat ten jest w bieżącym numerze potraktowany szerzej. O fotografowaniu na wakacjach i o tym, co warto wziąć ze sobą na wyjazd poza samym iPhonem, pisze Kinga Zielińska. Z kolei o duchu polaroidowych zdjęć, który przetrwał zaklęty w fotografii mobilnej, pisze Daniel Światły.

Odbiegając od aktualnych tematów, Jaromir Kopp, czyli MacWyznawca, zabierze nas na wycieczkę w przeszłość do drugiej połowy lat 80-tych, na tzw. „giełdę komputerową". Dodam, że dla mnie - w owym czasie stałego bywalca takiego przybytku - jego tekst to swego rodzaju podróż sentymentalna.

Serdecznie zapraszam do lektury.

Krystian Kozerawski
MyApple Magazyn



MyApple magazyn

Nr 4/2015(4)
ISSN: 2080-4776

MyApple Magazyn

Wydawca:
MyApple s.c.
Kaliska 10
97-400 Bełchatów
NIP: 769-221-98-23
tel: 666 493 493
fax: 042 299 6333

kontakt: magazyn@myapple.pl

Skład redakcji:

Redaktor Naczelny:
Krystian Kozerawski

Redaktorzy:
Jacek Zięba, Grzegorz Świątek, Max Pijanowski, Kinga Zielińska, Michał Masłowski, Jaromir Kopp, Steve Sande, Daniel Światły, Rafał Pawłowski

Korekta
Agnieszka Kozerawska

Layout i skład:
Radek Szwarc

/MyAppleMag

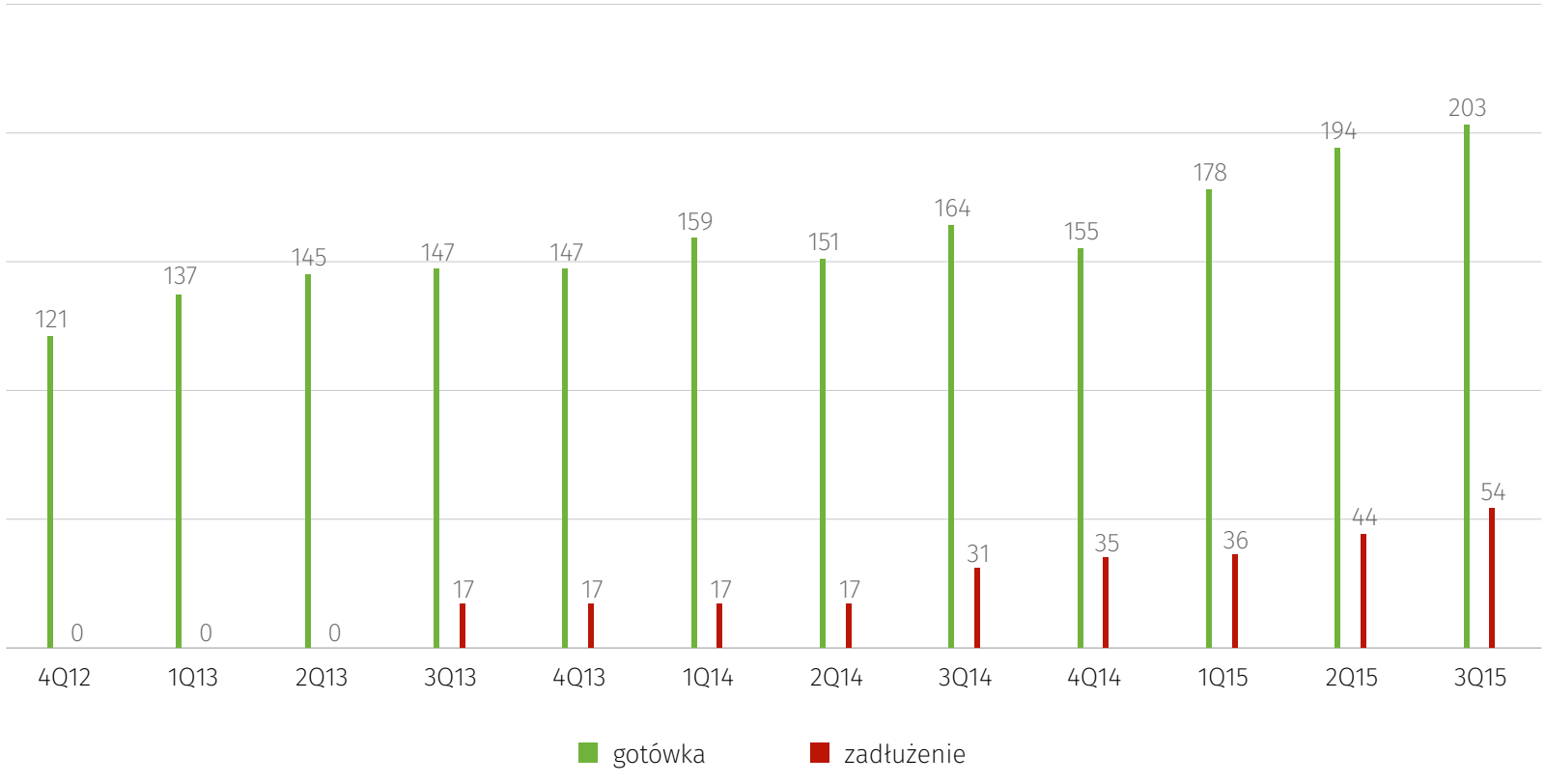
Treści i grafiki publikowane w MyApple Magazyn są chronione prawem autorskim wydawcy oraz ich autorów, a także osób trzecich. Znaki towarowe umieszczone w MyApple Magazyn podlegają ochronie prawnej. Wykorzystanie z materiałów o których mowa wyżej jest zabronione bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

Dywidenda, buyback, 203 miliardy $,

czyli jak Apple... ubyło pieniędzy

Michał Masłowski

21 lipca Apple podało wyniki finansowe za trzeci kwartał 2015 roku obrotowego (drugi kwartał roku kalendarzowego). O szczegółach pisaliśmy na MyApple. Jedną z najbardziej spektakularnych informacji prezentowanych w wynikach finansowych była ta, że spółka posiada w gotówce oraz w płynnych papierach wartościowych prawie 203 miliardy dolarów. W porównaniu z poprzednim kwartałem oznacza to wzrost posiadanej ilości gotówki o 9 miliardów dolarów. Nie wydaje się to żadnym zaskoczeniem, biorąc pod uwagę fakt, że Apple w ostatnim kwartale miało blisko 50 miliardów dolarów przychodu i 10,7 miliardów zysku.



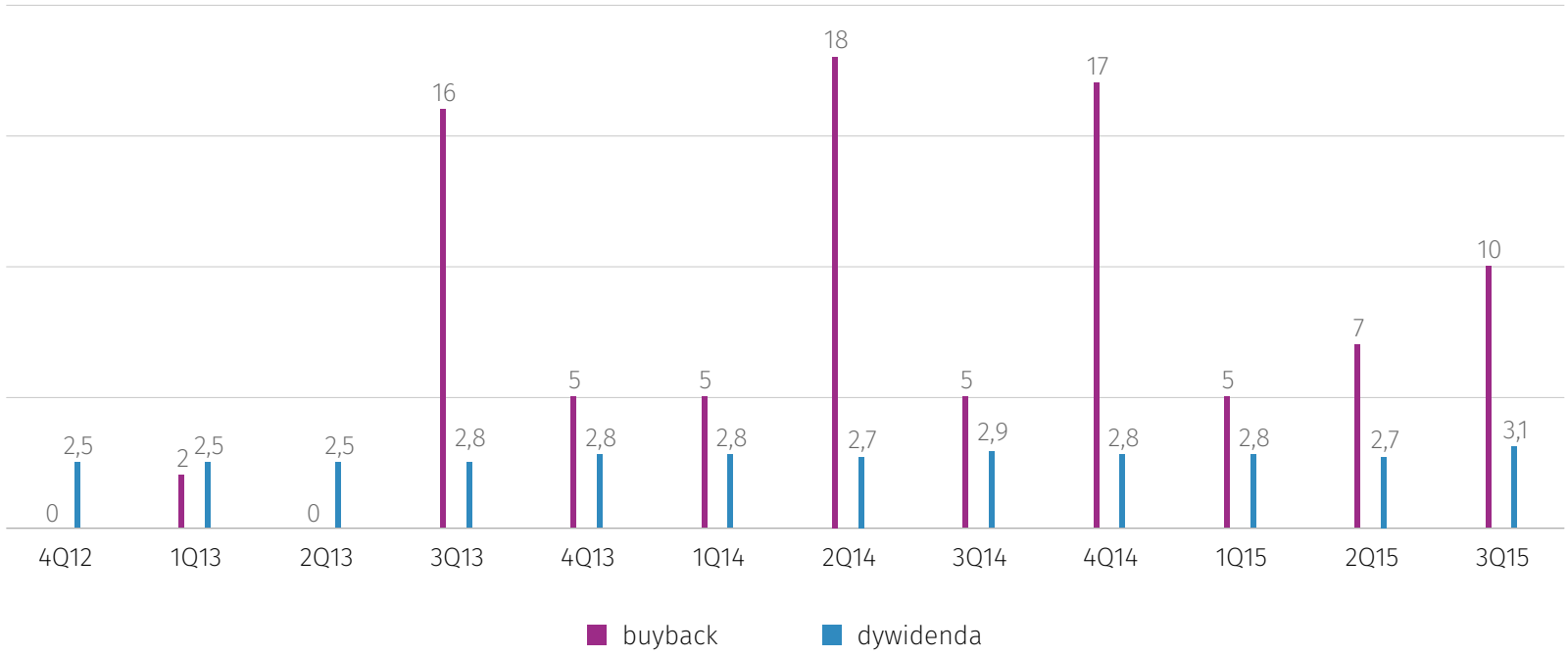
Rys. 1. Gotówka i zadłużenie Apple (dane kwartalne, mld USD)
źródło: investor.apple.com

Taka informacja podana bez żadnego komentarza faktycznie brzmi bardzo efektownie. Czy to oznacza zatem, że Apple ma znowu więcej pieniędzy? Na pierwszy rzut oka tak. W internecie można znaleźć całą serię różnych ciekawych zestawień, jakie firmy Apple mogłoby kupić w całości za gotówkę. Faktycznie, jest bardzo mało spółek, nawet na amerykańskim rynku, które są wyceniane na więcej niż 203 miliardy dolarów.

Gotówki, owszem, spółce przybyło, ale zwiększył się także jej dług o 10 miliardów dolarów. Skąd dług u Apple, skoro praktycznie wszystko, co chce, może sfinansować płacąc gotówką?

Program zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy

Jeśli się jednak bliżej przyjrzeć finansom Apple, to okazuje się, że jest wręcz przeciwnie. Gotówki, owszem, spółce przybyło, ale zwiększył się także jej dług o 10 miliardów dolarów. Skąd dług u Apple, skoro praktycznie wszystko, co chce, może sfinansować płacąc gotówką? Okazuje się, że Apple ma ogromne zapotrzebowanie na gotówkę. Począwszy od czwartego kwartału 2012 roku Apple realizuje tzw. program zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy, na który po prostu potrzebuje pieniędzy. Realizacja tego programu to inicjatywa Tima Cooka, który - w odróżnieniu od Steve'a Jobsa - bardzo dba o akcjonariuszy spółki. Nie znaczy to, że Jobs nie dbał, ale jego niechęć zarówno do płacenia dywidendy, jak i do skupu akcji własnych, była powszechnie znana. Z ciekawostek należy nadmienić, że to nie pierwszy raz, kiedy Apple płaci dywidendę. Jednak poprzedni okres, w którym spółka dzieliła się zyskami z akcjonariuszami, przypada na lata



Rys. 1. Wydatki Apple na dywidendę i skup akcji własnych (dane kwartalne, mld USD)
źródło: investor.apple.com

1987-1995, a więc na czasy, gdy Steve'a Jobsa nie było w Apple. Później spółka popadła w tarapaty finansowe i o żadnej dywidendzie nie mogło być mowy. Powrót do regularnego wypłacania dywidendy nastąpił dopiero w 2012 roku, a więc już po śmierci Steve'a Jobsa, wraz z ogłoszeniem wspomnianego zakrojonego na szeroką skalę programu zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy. Początkowo Tim Cook ogłosił, że chce, aby Apple w ten sposób wypłaciło na przestrzeni kilku lat około 100 miliardów dolarów. Program ten był kilkukrotnie modyfikowany. Aktualne zapowiedzi mówią o wypłacie łącznie 200 miliardów dolarów w terminie do marca 2017 roku. Od 2012 roku wypłacono już 126 miliardów dolarów, z czego 90 miliardów przeznaczono na skup akcji własnych, a resztę na dywidendę. Należy nadmienić, że jest to największy taki program zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy w historii światowych finansów.

> ...jest to największy taki program zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy w historii światowych finansów.

Dywidenda i buyback

W ramach tego programu Apple po pierwsze płaci dywidendę, a po drugie systematycznie realizuje skup akcji własnych. Aktualnie spółka płaci 0,52 dolara kwartalnie na jedną akcję. W ten sposób wydaje ponad 3 miliardy dolarów kwartalnie. Realizuje także buyback. Tylko w ostatnim kwartale wydała na to ponad 10 miliardów dolarów. Wszystkie te operacje są przeprowadzane w Stanach Zjednoczonych. Dywidenda wypłacana jest akcjonariuszom w dolarach. Skup akcji własnych jest realizowany albo w obrocie giełdowym (akcje Apple są notowane na NASDAQ-u), albo w transakcjach pakietowych - również w dolarach. Na to wszystko tylko w tym kwartale Apple potrzebowało blisko 14 miliardów dolarów. A jak wiemy, spółka osiąga przychody na całym świecie w różnych walutach. Mało tego, gotówka zarabiana przez Apple poza granicami Stanów Zjednoczonych

Apple coraz więcej pieniędzy ma i będzie miało poza granicami USA. (...) Senatorowie co chwila prześcigają się w pomysłach, jak opodatkować pieniądze zarabiane przez Apple za granicą.

nie może być, ze względu na wysokie podatki, łatwo transferowana do kraju. Jest to główny powód, dla którego aż 89% środków finansowych posiadanych przez Apple znajduje się na zagranicznych kontach, poza Stanami Zjednoczonymi. Ta tendencja się pogłębia. Apple coraz więcej pieniędzy ma i będzie miało poza granicami USA. Dla porównania - w 2012 roku tylko 68% posiadanej gotówki miało na kontach zagranicznych. Dodatkowo sprzedaż na rynkach zagranicznych, w szczególności w Chinach, rośnie szybciej niż sprzedaż na terenie USA. A więc ta dysproporcja ilości posiadanej gotówki w USA i za granicą będzie z czasem się jedynie zwiększać. Apple wraz z innymi amerykańskimi gigantami światowej gospodarki co prawda tworzy koalicję, która lobbuje za roczną abolicją podatkową, tak aby móc bez przeszkód jednorazowo przetransferować posiadane środki do USA, póki co jednak na żadne ulgi podatkowe się nie zanosi. Mało tego, Apple znane jest ze swojej polityki unikania płacenia podatków od zysków osiąganych poza terenem USA, co bardzo nie podoba się amerykańskiemu rządowi, który ma Apple (i wiele innych spółek) pod tym względem pod lupą. Senatorowie co chwila prześcigają się w pomysłach, jak opodatkować pieniądze zarabiane przez Apple za granicą. Mimo tego warto nadmienić, że Apple jest spółką, która w Stanach Zjednoczonych płaci największe podatki.

Ponad 50 miliardów długu

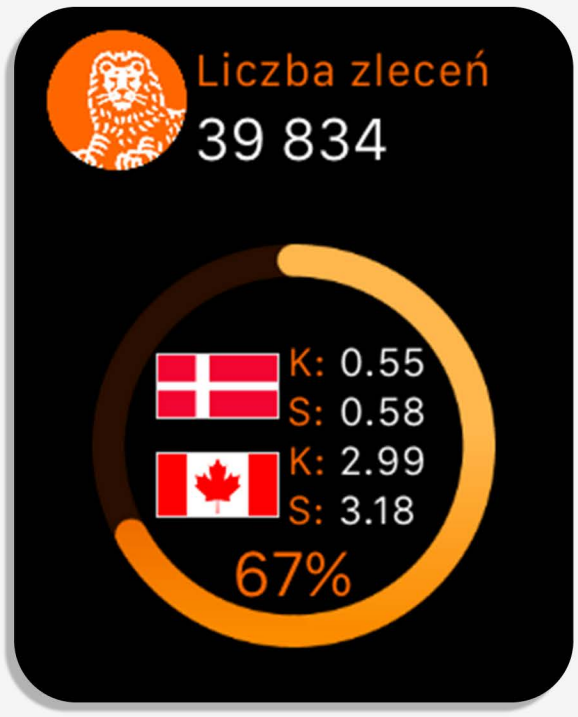
Mając na uwadze malejące zapasy gotówki w USA i realizację programu zwrotu pieniędzy do akcjonariuszy, od 2012 roku Apple rozpoczęło emisję obligacji. Aktualnie spółka jest zadłużona na kwotę 54 miliardów dolarów. Dług ten rośnie nieprzerwanie od 2012 r. Należy nadmienić, że obligacje Apple są jednymi z najbardziej pożądanych przez inwestorów dłużnych papierów wartościowych.

Pozostaje pytanie o przyszłość. Przez kolejne półtora roku Apple chce wypłacić akcjonariuszom kolejne ponad 73 miliardy dolarów. Będzie na to potrzebowało gotówki - dolarów na kontach w USA. Będzie więc zapewne jednocześnie zwiększało dług i zapasy gotówki na kontach off-shore. Pytanie, co stanie się po 2017 roku. Nie wydaje się możliwe, aby Apple przestało płacić dywidendę, oczywiście pod warunkiem, że spółka nadal będzie operować na podobnych lub nie gorszych parametrach finansowych jak obecnie. Nie wiadomo natomiast, kiedy skończy się buyback, bo bez końca prowadzić się go nie da. Prawdopodobne jest więc zamknięcie programu skupu akcji własnych, ale kontynuowanie wypłaty dywidendy. Apple zarabiając „na czysto" kilka lub kilkanaście miliardów dolarów kwartalnie, będzie w stanie płacić pieniądze akcjonariuszom i obsługiwać dług bez sięgania po zasoby gotówki pozostające na zagranicznych kontach. Choć oczywiście to ostatnie nie jest pewne, bo w końcu dużą część zysku Apple generuje na podstawie sprzedaży na rynkach zagranicznych. Kompletnie natomiast nie wiadomo, co Apple zrobi z tą górą gotówki, którą tam posiada. Już teraz jest to ponad 180 miliardów, a do 2017 roku ilość tych pieniędzy z pewnością wzrośnie.

komentuj

Fotografia: Radek Szwarc

TWOJA FIRMA DZIAŁA TAM, GDZIE DZIAŁASZ TY.



ING Business – nowa aplikacja mobilna dla firm teraz dostępna na Apple Watch jako pierwsza aplikacja bankowa w Polsce!

Prezentacja danych w formie skrótów na ekranie zegarka:

- procentowy wskaźnik salda na rachunku,
- aktualna liczba zleceń oczekujących na podpis lub wysłanie,
- bankowe kursy kupna i sprzedaży walut.

Personalizacja wyświetlanych elementów, takich jak domyślny rachunek czy para walutowa. Odświeżanie danych w technologii Force Touch.

Available on the iPhone
App Store

Poznaj aplikację na **www.ingbusiness.pl/mobile**

ING

Audiobooki i disco polo,

czyli polskie zakamarki Apple Music

Max Pijanowski

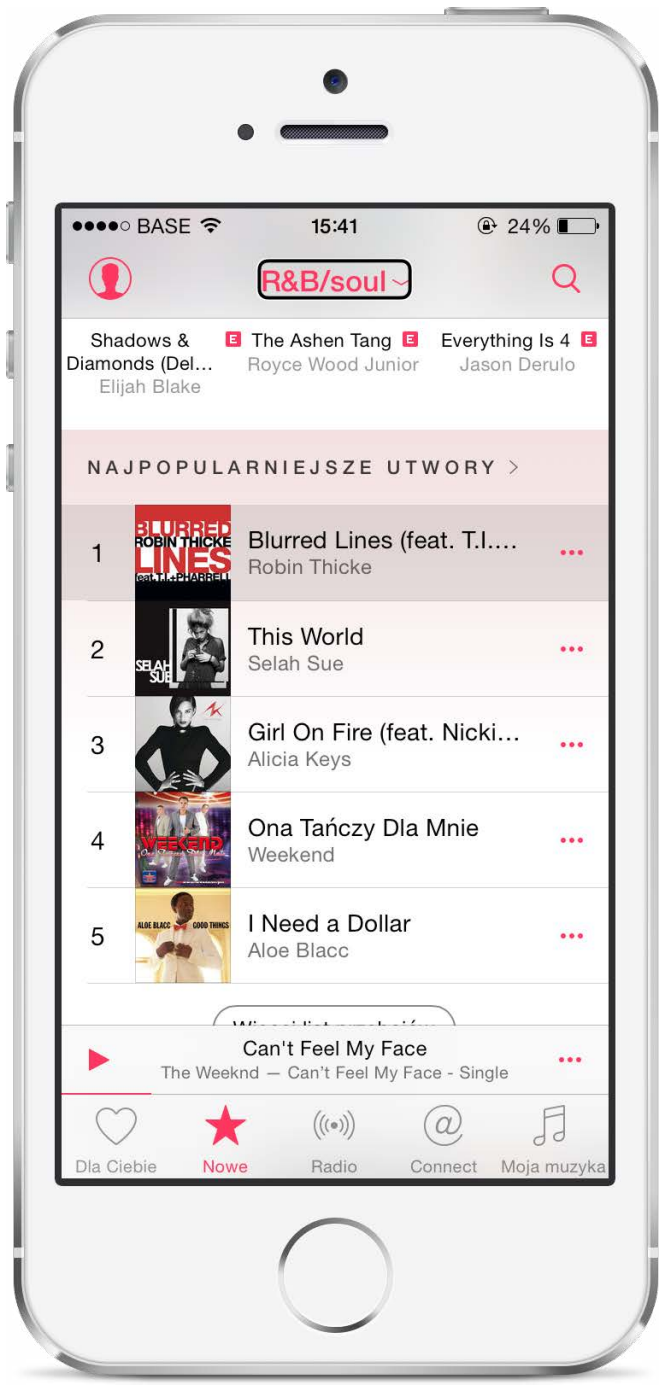
Bez założonego w 2005 roku serwisu YouTube trudno sobie wyobrazić dzisiejsze oblicze internetu. Umożliwienie bezpłatnego zamieszczania i strumieniowego odtwarzania treści audiowizualnych zaowocowało miliardami wyświetleń i setkami milionów godzin opublikowanych w jego ramach filmów. Generowaną przez użytkowników zawartość YouTube'a stanowią m.in. teledyski artystów, programy telewizyjne, zwiastuny kinowe oraz amatorskie klipy video użytkowników, chociażby wszelkiego rodzaju vlogi (patrz - MyApple Video). Dzięki mechanizmowi wyświetlania kolejnych rekomendowanych filmów do obejrzenia często pozostajemy w serwisie dłużej, niż byśmy tego chcieli. Z różnym skutkiem.

Na pewno nie raz, przeglądając zawartość YouTube'a, zdarzyło się wam natrafić na coś, czego nie do końca się spodziewaliście. W ciągu dekady funkcjonowania takich miejsc w serwisie pojawiło się całkiem sporo. Mają one nawet swoją nazwę, to tzw. „dziwne miejsca YouTube'a". Termin wywodzi się z angielskiego określenia „The weird part of YouTube", które począwszy od 2009 roku zaczęło pojawiać się w komentarzach użytkowników pod treściami odbiegającymi od ich kryteriów - tak wyszukiwania, jak i nierzadko estetycznych. Jako że dziwnych miejsc w internecie nie brakuje, zasięg tego terminu w kolejnych latach wykroczył poza ramy serwisu. Ewoluował on, przybierając postać typowego określenia dziwnych cyber miejsc m.in. „Weird part of the Internet" czy „Weird part of Tumblr". Ja trafiłem do „The weird part of Apple Music".

To, co jedni uznają za dziwne, dla drugich już takim nie jest. Obrazuje to doskonale pierwszy dziwny zakątek serwisu Apple Music, do którego dotarłem.

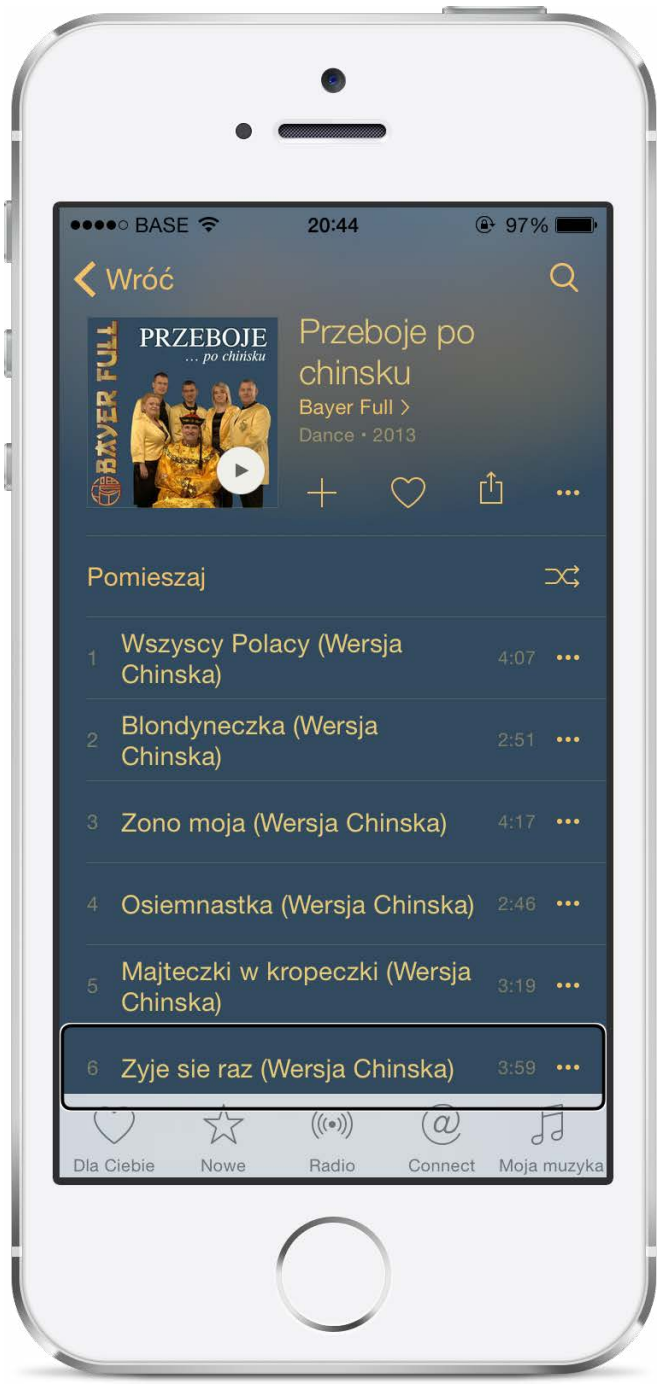
Serwis Knowyourmeme.com, definiuje „dziwne miejsca YouTube'a" jako klipy wideo, które użytkownikom wydają się w jakiś sposób niepokojące lub ekscentryczne. Oczywiście ilu ludzi, tyle opinii, dlatego to, co jedni uznają za dziwne, dla drugich już takim nie jest. Obrazuje to doskonale pierwszy dziwny zakątek serwisu Apple Music, do którego dotarłem.

To było dla mnie jak grom z jasnego nieba. Przeglądając zawartość serwisu streamingowego firmy z Cupertino według gatunków muzycznych, dotarłem do kategorii R&B/Soul, a tam do listy pięciu najpopularniejszych utworów:



Choć żadnej ze znajdujących się na niej piosenek nie uznałbym za wybitną, to jednak cztery z nich pasowały do przeglądanej właśnie kategorii. Piąta z nich, zajmująca miejsce czwarte, zaskoczyła mnie. Nie dość, że nie pasuje do tej kategorii, to zespół Weekend z piosenką „Ona tańczy dla mnie" nie pasuje mi do Apple Music w ogóle.
Postaram się ubrać to w ładne słowa - nie należę do zwolenników tego typu twórczości. Z tego powodu, aby dowiedzieć się czegoś

o tym wykonawcy, musiałem sięgnąć do Wikipedii. Znalazłem tam taką informację: „Weekend - polski zespół muzyczny, boysband, wykonujący muzykę z pogranicza gatunków dance i disco polo". Czyli nie R&B czy Soul, więc jeżeli koniecznie taka twórczość musi znajdować się w Apple Music, to do kategorii disco z nią! Ewentualnie do muzyki folk albo - by nie obrazić także tej ostatniej - proponuję utworzyć osobną kategorię, bo jest tego w Apple Music więcej.



Wcześniej nie miałem pojęcia, że muzyka disco polo posiada swoich reprezentantów w zbiorach biblioteki iTunes. Tym większe było moje zdziwienie wynikami wyszukiwania, gdy po przypadkowym odnalezieniu wspomnianego utworu wpisałem taką frazę i kliknąłem „Szukaj". „Classic Disco Polo", „Super przeboje Disco Polo" i „Jesteś szalona" - to tylko niektóre z odnalezionych rzeczy, i tak, to mi wystarcza, by miejsce uznać za wystarczająco dziwne, jednak skłamałbym, gdybym napisał, że nie zagłębiłem się w nie bardziej. Przechodząc dalej, dotarłem do miejsca, w którym, o zgrozo, dałem zarobić wykonawcy tego gatunku 0,2 centa. Bajer Full po chińsku, „Majteczki w kropeczki" w języku Państwa Środka. Musiałem to odtworzyć. The weirdest part of Apple Music.

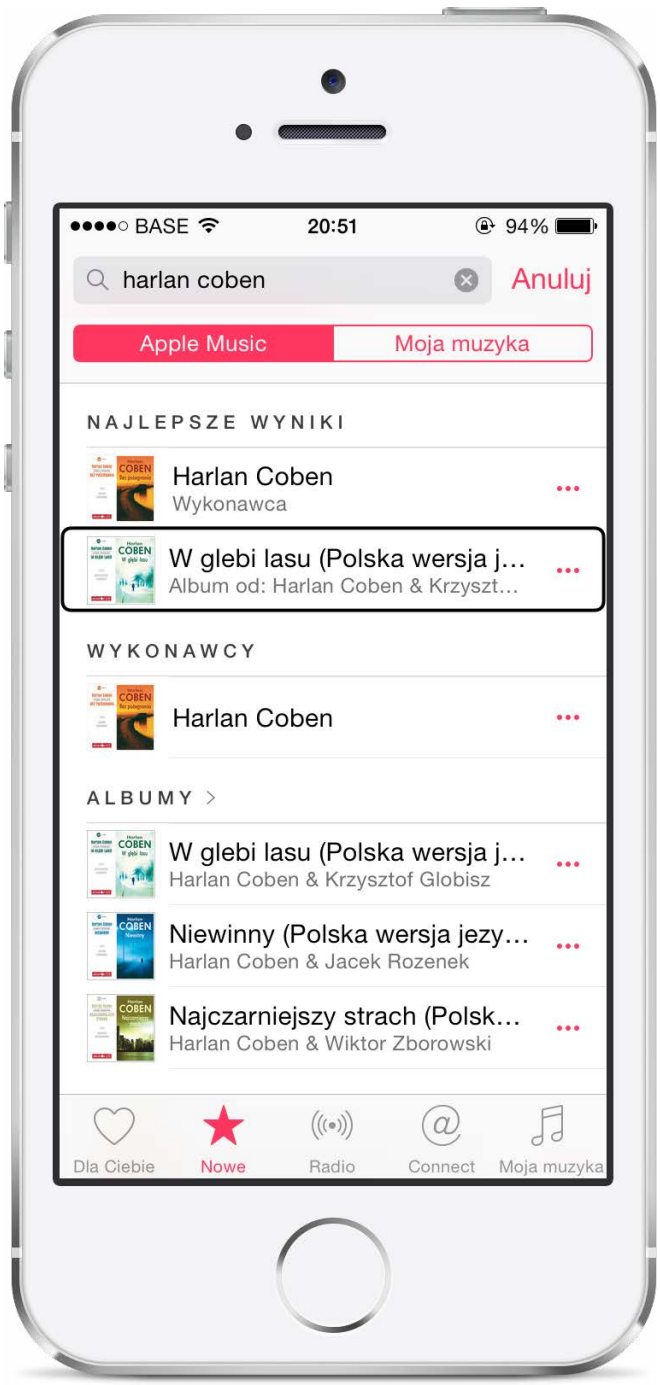
Na drugi dziwny zakątek muzycznego serwisu firmy Apple trafiłem kierowany bardziej ciekawością, niż przez przypadek. Tym razem, przeglądając zawartość serwisu, omijając oczywiście twórczość rodzimego disco, przypomniałem sobie o ofercie konkurencyjnego Spotify. Nie chodzi mi o jakiś wyjątkowy materiał muzyczny na wyłączność, który chciałem odnaleźć również w Apple Music, a o polskie audiobooki.

Określenie „dziwna część" tego czy innego serwisu ma zazwyczaj negatywny wydźwięk. W przypadku audioksiążek jest inaczej, pomimo iż taka forma dostępu do literatury nie wszystkich przekonuje i te osoby audiobookowy zakątek Apple Music uznałyby za rzeczywiście dziwny. Jedyne, co może dziwić, to ich obecność w serwisie stricte muzycznym przy jednoczesnym braku wyeksponowania tego faktu.

Gdy w okno wyszukiwania wpisałem nazwisko autora popularnych kryminałów - Harlana Cobena - ku mojemu zdziwieniu została wyświetlona lista kilku propozycji książek jego autorstwa w wersji audio. Co najważniejsze, w języku polskim. Zacząłem szukać dalej.

W serwisie Spotify proces wyszukiwania audiobooków nie należy do najłatwiejszych,

w Apple Music nie jest taki w ogóle. Użytkownika zainteresowanego tym rodzajem zawartości pozostawiono w obu przypadkach samemu sobie, nie uwzględniając osobnej kategorii grupującej audioksiążki w jednym miejscu. Jedyną możliwością jest ich ręczne wyszukiwanie po określonej frazie, co w serwisie firmy Apple przynosi gorsze rezultaty niż u konkurencji.



Wpisanie frazy „audio książka” skutkuje wynikiem „No results found”, z kolei hasło „audiobook” wyświetla książki w języku angielskim do nauki języka i o medytacji. Co zatem wpisać, by dotrzeć do polskich książek audio? Podobnie jak zrobiłem to ja, można spróbować wyszukiwania poprzez autora lub tytuł książki. Dość efektywna jest także metoda przeszukiwania zbiorów po nazwisku lektora np. Leszek Filipowicz, Roch Siemianowski czy Wiktor Zborowski. W serwisie Spotify najlepsze rezultaty otrzymujemy wpisując frazę „polska wersja językowa”. Daje ona wynik 281 polskich tytułów - od klasyki, przez lektury, do literatury popularnej. W Apple Music nie policzymy w ten sposób książek, gdyż zwracany wynik pokazuje także poszczególne rozdziały książki opatrzone taką frazą. Moim zdaniem najlepsze efekty przynosi wyszukiwanie konkretnego autora i tytułu, ponieważ po wejściu w taki album na dole strony znajdziemy propozycje innych książek tego autora. Jednak i ten sposób także nie jest doskonały, gdyż opcja „Więcej od...” pokazuje książki autora w powiązaniu z tylko jednym lektorem. Trochę to dziwnie logicznie nielogiczne.

Mam nadzieję, że firma z Cupertino poprawi w przyszłości mechanizm wyszukiwania książek audio i że są to tylko problemy wieku dziecięcego Apple Music, bo pod tym względem serwis przegrywa w tym momencie ze Spotify.

Jeżeli chodzi o zespół Weekend w pierwszej piątce najpopularniejszych utworów R&B/Soul, to tę dziwną sytuację mogą poprawić tylko użytkownicy. Podczas pisania tego tekstu sprawdziłem listę jeszcze raz i jest dobrze. Co prawda prócz piosenek Johna Legenda i Jill Scott znajdziemy trzy utwory od artysty THE WEEKND, tym razem jednak tam pasują. Sprawdźcie sami.

Audiobooki i disco polo, dwa polskie zakamarki serwisu Apple Music. Oba - choć niewspółmiernie - dziwne. Mimo wszystko z jednego z nich będę korzystał. Zgadnijcie, z którego?

komentuj

Fotografia: Radek Szwarc
Screenshoty: aplikacja „Music” / archiwum autora

iPod idealny

Jacek Zięba

iPody od trzech lat powoli umierają i nie powinno to nikogo dziwić. Nawet odświeżenie iPoda Touch niewiele zmienia w tej materii, gdyż nie możemy mówić o nim jako o nowym modelu. Apple zdecydowało się bowiem jedynie na zastosowanie znanych z ostatnich iPhone'ów podzespołów oraz szerszej palety dostępnych kolorów. Warto więc zadać sobie pytanie - czy w ofercie Apple jest jeszcze miejsce na nowe iPody?



Na wyżej postawione pytanie w Cupertino od trzech lat pada odpowiedź „nie”. Działania konkurencji w postaci Pono czy Sony udowadniają jednak, że choć o wysokiej sprzedaży iPodów możemy już zapomnieć, to rynek nadal czeka na doskonały mobilny odtwarzacz muzyczny.

> Przewaga iPoda nad iPhonem powinna wyrażać się przede wszystkim w zastosowanym osprzęcie, który pozwalałby na odtwarzanie wyższej jakości dźwięku.

No właśnie, a jaki powinien on być? Dlaczego nie możemy po prostu słuchać muzyki na smartfonie, jak to obecnie robi większość osób? Dla wielu z nas odpowiedź jest jednoznaczna. Nie oszukujmy się, tylko wąskie grono widzi plusy z noszenia przy sobie dwóch urządzeń zamiast jednego.

Przewaga iPoda nad iPhonem powinna wyrażać się przede wszystkim w zastosowanym osprzęcie, który pozwalałby na odtwarzanie wyższej jakości dźwięku. Różnica powinna być również widoczna w oprogramowaniu, gdyż idealny iPod musiałby odtwarzać muzykę w formacie AIFF oraz FLAC. Warto również w miarę możliwości zminimalizować wymiary tego urządzenia, ale jednocześnie zastosować baterię o takiej pojemności, abyśmy nie musieli podłączać iPoda codziennie do ładowania.

Różnicę pomiędzy urządzeniami, stanowiącą o przewadze iPoda nad iPhonem, można porównać do tej między Kindle a iPadem. Zarówno odtwarzacz Apple, jak i czytnik Amazonu, zostały zaprojektowane do jednej czynności, a co za tym idzie, podczas konsumpcji tekstu albo muzyki nie towarzyszą nam żadne dystraktory w postaci brzęczących powiadomień czy też zwykłej pokusy sprawdzenia nowości w serwisach społecznościowych. To „ograniczenie” jest dla wielu użytkowników bardzo ważne, gdyż pozwala im skupić się wyłącznie na rozrywce, której w danym momencie chcą poświęcić swój czas.

Nowa usługa, jaką jest Apple Music, powinna zostać zaimplementowana w iPodzie idealnym. Poprzez moduł Wi-Fi urządzenie mogłoby łączyć się z serwerami w celu streamowania muzyki, a użytkownik miałby możliwość zapisania utworów do pamięci urządzenia. Chęć słuchania dźwięku w wyższej jakości, o czym pisałem wyżej, powinna wymusić na Apple wzbogacenie swojej oferty zgromadzonej w bazie iTunes o pliki w formacie bezstratnym. Z pewnością ucieszyłoby to nie tylko posiadaczy opisywanego przeze mnie iPoda, ale i wielu innych użytkowników ceniących sobie wysoką jakość dźwięku.

Pojawienie się nowego iPoda prawdopodobnie pozostanie w sferze marzeń, gdyż Apple nie znajduje w tym produkcie skutecznego źródła przychodu. Opisane przeze mnie urządzenie byłoby interesujące tylko dla wąskiego grona użytkowników i nawet gdyby podniosło prestiż firmy z Cupertino oraz pokazało, że „muzyczne DNA” Apple jest nadal obecne, to ze stricte pragmatycznego punktu widzenia nic nie wnosiłoby do przedsiębiorstwa Tima Cooka. Osobom chcącym posłuchać muzyki w formacie bezstratnym na urządzeniu mobilnym, któremu nie towarzyszą żadne dystraktory, pozostało kupić Pono. To świetny sprzęt, ale brak jego integracji z serwisami streamingowymi nie pozwala mi na wystawienie mu najwyższej noty.

Fotografia: materiały Apple

komentuj

Project Titan

- czy Apple wyprodukuje samochód?

Grzegorz Świątek



Świat karmi się plotką. Ten Apple'owski również. Ci, którzy śledzą losy firmy zlokalizowanej przy 1 Infinite Loop w Cupertino, wiedzą, że plotek, a raczej pogłosek na jej temat nie brakuje. Plotka bowiem to według słownika języka polskiego „nieprawdziwa wiadomość, która negatywnie wpływa na czyjąś opinię". W tym przypadku mamy raczej do czynienia z pogłoskami, czyli „niesprawdzonymi wiadomościami".

Spór akademicki na temat różnic między plotką a pogłoską nie jest tu najbardziej istotny, ale w przypadku Apple czytamy zazwyczaj pogłoski, które - mimo że niesprawdzone - budzą wiele emocji, a przy okazji stanowią dla tej firmy całkiem niezłą formę darmowej promocji. Jedną z najbardziej popularnych pogłosek ostatnich miesięcy jest ta dotycząca elektrycznego samochodu, nad którym rzekomo pracuje Apple. Po raz pierwszy pojawiła się ona w lutym tego roku. Od tamtej pory informacje na temat projektu o kryptonimie „Titan" regularnie pojawiają się w sieci. Postanowiłem przeanalizować je wszystkie w celu ustalenia, czy tkwi w nich choć ziarno prawdy.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Apple zatrudniło wielu kluczowych pracowników firm z branży motoryzacyjnej i branż pokrewnych. W szeregach Apple znaleźli się ludzie, którzy wcześniej pracowali w takich firmach jak np. Tesla, General Motors czy Ford.

Jak wspomniałem, wszystko rozpoczęło się w lutym, kiedy to na ulicach San Francisco pojawiły się wynajęte przez Apple, wyposażone w kamery samochody podobne do tych, które Google wykorzystuje do zbierania danych potrzebnych do usługi Street View. Spekulowano wtedy, że Apple testuje samojezdne pojazdy. Wątpliwości zostały rozwiane, gdy okazało się, że w samochodach znajdują się kierowcy, a Apple potwierdziło, że pracuje nad usługą konkurencyjną dla wspomnianej Street View.

Kilka dni później jeden z pracowników Apple wysłał wiadomość e-mail do mediów z informacją o tym, że firma pracuje nad samochodem - projektem konkurencyjnym dla Tesli, a pracownicy tej firmy zasilają szeregi Apple, ponieważ za wszelką cenę chcą w nim uczestniczyć. Co więcej, w tym czasie do Apple dołączył szef działu rozwoju firmy Mercedes-Benz. Podejrzenia padły na chęć rozwoju platformy CarPlay. Zaledwie kilka godzin później na łamach The Wall Street Journal pojawiła się informacja o tym, że Apple pracuje nad elektrycznym minivanem, a szefem projektu jest Steve Zadesky – były inżynier Forda. Oliwy do ognia dolał fakt, iż Apple rozszerzyło zakres swojej działalności gospodarczej o kategorię „pojazdy" w Szwajcarii i Meksyku.

Jedną z najważniejszych części każdej organizacji są ludzie. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Apple zatrudniło wielu kluczowych pracowników firm z branży motoryzacyjnej i branż pokrewnych. W szeregach Apple znaleźli się ludzie, którzy wcześniej pracowali w takich firmach jak np. Tesla, General Motors czy Ford. Istotny jest również fakt pozyskania pięciu inżynierów firmy A123 Systems, która specjalizuje się w produkcji akumulatorów do samochodów elektrycznych.

Nie brakuje również informacji o miejscu, w którym rzekomo toczą się prace nad „Project Titan". W marcu tego roku odkryto wynajęty przez Apple kompleks budynków, który znajduje się w Sunnyvale – niedaleko siedziby głównej firmy Apple. Z budynków oficjalnie korzysta firma konsultingowa SixtyEight Research, która niedawno otrzymała pozwolenie na prowadzenie działalności m.in. w zakresie napraw samochodów. Mówi się, że SixtyEight Research to jedynie przykrywka.

Na początku 2014 roku, kiedy nikt nie myślał jeszcze o projekcie „Titan”, pojawiły się pogłoski o zamiarze przejęcia Tesli przez Apple. Nieco później Elon Musk - prezes producenta elektrycznych samochodów - potwierdził, że rozmawiał z przedstawicielami Apple, lecz nie zdradził tematu tych rozmów.

Być może wiadomość e-mail, którą w lutym tego roku pracownik Apple wysłał do mediów, miała na celu jedynie rozpoczęcie kolejnych spekulacji związanych z tą firmą w myśl zasady „nie ważne, jak o tobie mówią, ważne, by mówili”.

Obecnie, gdy pojawia się coraz więcej informacji na temat samochodu Apple, przejęcie Tesli wydaje się bardziej prawdopodobne niż rok temu. Sam Musk powiedział, że gdyby istniała możliwość stworzenia samochodu elektrycznego, który dostępny byłby dla masowego odbiorcy, to rozważyłby podjęcie dyskusji na temat przejęcia. Sądzi on jednak, że taki scenariusz nie jest brany pod uwagę, dlatego przejęcie jest bardzo mało prawdopodobne.

Najnowszą informacją dotyczącą tego projektu są negocjacje między firmą Apple i BMW, w które prawdopodobnie zaangażowany jest sam Tim Cook. Według tych doniesień podstawą do zbudowania Apple Cara ma być BMW i3 – pięciodrzwiowy, miejski samochód elektryczny, którego nadwozie wykonane jest z tworzyw sztucznych wzmocnionych włóknami węglowymi.

Należy wziąć pod uwagę, że nawet jeśli Apple pracuje nad samochodem, to nie znaczy, że zostanie on szybko wprowadzony na rynek. Według doniesień Apple Car pojawi się na rynku w 2020 roku. Analizując opisane pogłoski, nie można jednoznacznie stwierdzić, czy Apple rzeczywiście pracuje nad nowym produktem, jakim jest samochód. Z jednej strony wszystkie opisane wyżej elementy układanki pod nazwą „Project Titan” łączą się w całość. Apple pozyskało najpierw wielu fachowców z branży motoryzacyjnej, którzy mają ogromne doświadczenie w projektowaniu samochodów i ich poszczególnych elementów, następnie zorganizowało „tajny” kompleks budynków, w których być może już od dawno prowadzone są prace nad autonomicznym pojazdem. Teraz firma z Cupertino szuka partnera strategicznego. Po nieudanych rozmowach z Teslą, swojego szczęścia próbuje za naszą zachodnią granicą, gdzie znajduje się siedziba główna firmy BMW. Z drugiej strony nie pojawiły się dotąd żadne oficjalne informacje, które mogłyby wskazywać na prawdziwość tych doniesień. Być może wiadomość e-mail, którą w lutym tego roku pracownik Apple wysłał do mediów, miała na celu jedynie rozpoczęcie kolejnych spekulacji związanych z tą firmą w myśl zasady „nie ważne, jak o tobie mówią, ważne, by mówili”. Możliwe też, że Apple intensywnie pracuje nad rozwojem platformy CarPlay, a samochód tej firmy powstanie, ale dużo później. Przecież Apple słynie z tworzenia dobrze ze sobą współpracujących rozwiązań software’owych i hardware’owych. Scenariuszy jest wiele. Czas pokaże, w którą stronę podąży Tim Cook i jego współpracownicy.

Ilustracja: Radek Szwarc

komentuj

Zaprojektowany przez Apple,
by służyć i chronić

Max Pijanowski



W lutym 1955 roku Departament Policji w Los Angeles, na łamach wydawanego wewnętrznie magazynu „BEAT”, przeprowadził konkurs na motto, które w kilku słowach wyrażałoby ideały, dla których został powołany. Wygrało credo „To Protect and to Serve” (Chronić i służyć), które zgodnie z zarządzeniem Rady Miasta Los Angeles z 1963 roku zostało umieszczone na radiowozach Departamentu. Od tamtego czasu słynną dewizę „Chronić i służyć” przyjęło wiele wydziałów policji w całym anglojęzycznym świecie, czasem w alternatywnej formie „Służyć i chronić”. Pomimo, iż motto nierozerwalnie łączy się z policją, jego przekaz jest uniwersalny. Dlatego zdecydowałem się na jego użycie w stosunku do iPhone’a, szczególnie w kontekście bardzo ciekawego patentu firmy Apple.

Do czego służy iPhone? Do dzwonienia, surfowania w internecie i przeglądania portali społecznościowych, do korzystania z maila i komunikatorów, do robienia zdjęć, grania i słuchania muzyki. To najczęstsze odpowiedzi, jednak ilu użytkowników, tyle indywidualnych potrzeb i uzyskana odpowiedź zależy od osoby, do której to pytanie skierujemy. Można podejść do niego także w sposób software'owy i niejako hardware'owy. W pierwszym przypadku odpowiedź ogranicza wyobraźnia twórców systemu iOS i aplikacji, zamykająca się w zbiorze „AppStore". W drugim - wyobraźnia użytkowników, a ta jest nieograniczona i potrafi zaskakiwać. iPhone jako otwieracz do butelek, podstawka pod kubek lub nogę krzesła, to tylko kilka przykładów takiej „wyobraźni", których swoją drogą nie polecam. Jeszcze innej odpowiedzi udzieliłby hejter marki Apple - według niego iPhone to narzędzie do lansu i pod tym względem także on nierzadko miałby rację. Reasumując - bez względu do czego - iPhone bez wątpienia służy swoim użytkownikom.

> ... „Tryb wykrywania ataku", dzięki któremu iPhone miałby chronić właścicieli w sytuacji zagrożenia...

Zapewnienie bezpieczeństwa danych przy korzystaniu z internetu to temat, który mniej lub bardziej - ale zawsze - istniał w świadomości użytkowników podłączonych do sieci. Teraz jest priorytetem, a wszystko dzięki rewelacjom Edwarda Snowdena o prowadzonym przez amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Narodowego programie inwigilacji PRISM. Obywatelom cyber świata nie przypadło do gustu monitorowanie ich połączeń telefonicznych, emaili i kont na portalach społecznościowych, dlatego kilka dużych firm technologicznych, w tym Apple, podjęło działania na rzecz ograniczenia tego typu praktyk. Dyrektor Generalny Apple Tim Cook w swoich wystąpieniach często podkreśla, iż dane użytkowników są bezpieczne i nikt ich nie przegląda, ani Apple, bo go to nie interesuje, ani rząd USA, bo nie ma dostępu do serwerów firmy. Działania te zostały docenione przez amerykańską fundację Electronic Frontier Foundation, walczącą o prawo do anonimowości, prywatności i wolności słowa w internecie. Jej coroczny raport „Who has your back", oceniający firmy pod względem tych aspektów, przyznał Apple maksymalną ocenę sześciu gwiazdek.

Sam Edward Snowden na łamach „The New York Timesa" pochwalił firmę z Cupertino pisząc: „Podstawowe zabezpieczenia, np. szyfrowanie danych, kiedyś uważane za niepotrzebne, są obecnie domyślnie stosowanymi środkami bezpieczeństwa w produktach firm takich jak Apple. Nawet jeżeli telefon zostanie skradziony, to nasze prywatne życie pozostaje prywatnym".

Firma Apple dba także o bezpieczeństwo własnych produktów. By chronić najbardziej newralgiczną i podatną na uszkodzenia część iPhone'a, inżynierowie z Cupertino wymyślili i opatentowali system, który rozpozna położenie smartfona względem podłoża podczas upadku, by nie uderzył o nie, spadając na ekran. Na całość systemu złożyłyby się już posiadane przez iPhone'a sensory: żyroskop, akcelerometr i GPS, a zamontowany w urządzeniu silniczek byłby odpowiedzialny za zmianę środka ciężkości.

Bezpieczeństwo danych i ochrona samego urządzenia to bardzo ważne kwestie i dobrze, że Apple ma je na uwadze. Jednak czy wśród całego zamieszania związanego z ochroną prywatności, szyfrowaniem, hasłami i nierysującymi się wyświetlaczami iPhone'ów nie zapomniano o najważniejszej kwestii? O bezpieczeństwie samego użytkownika?

Premiera nowej generacji smartfonów firmy Apple zbliża się wielkimi krokami. Pojawiają się kolejne plotki, domniemania analityków i pobożne życzenia samych użytkowników, dotyczące tego, co znajdzie się na pokładzie nowych urządzeń. Czytnik tęczówki, Touch ID wbudowany w ekran pokryty dodatkowo szkłem szafirowym, obudowa z nowego stopu aluminium, a może ciekłego metalu? Jestem za, jednak chciałbym zobaczyć coś, co bezpośrednio nawiązuje do hasła „Służyć i chronić", a na co firma Apple posiada już rozwiązanie. Przynajmniej na papierze.

W marcu ubiegłego roku amerykańskie Biuro Patentów i Znaków Towarowych opublikowało zgłoszenie firmy z Cupertino opisujące „Tryb wykrywania ataku", dzięki któremu iPhone miałby chronić właścicieli w sytuacji zagrożenia. Wynalazek ma na celu pomoc użytkownikowi w przypadku wypadków samochodowych, rozbojów i problemów medycznych. Po aktywacji trybu detekcji ataku w urządzeniu, iPhone - dzięki wbudowanym czujnikom - monitorowałby określone zdarzenia np. nagłe zerwanie interakcji z ekranem smartfona lub brak ruchu w danym okresie czasu. W innych przypadkach, wykorzystując akcelerometr lub mikrofon, urządzenie wykrywałoby gwałtowne ruchy lub hałas przekraczający ustaloną wartość progową. Dodatkowo, w sytuacji potencjalnego zagrożenia, użytkownik przytrzymywałby fizyczny przycisk kontroli głośności, by zwolnić go, gdyby doszłoby do ataku i tym samym wyzwalałby odpowiednią reakcję smartfona.

System po wykryciu zagrożenia mógłby automatycznie wykonywać połączenia awaryjne ze zdefiniowanymi numerami, a wykorzystując wbudowany w smartfonie moduł GPS - po określeniu pozycji iPhone'a - także z najbliższą osobą z listy kontaktów lub lokalną jednostką policji i pogotowia.

Innym sposobem reakcji systemu na awaryjną sytuację jest uruchomienie alarmu. iPhone przez wbudowane głośniki lub przez głośniki pojazdu, w którym jego użytkownik się znajduje, mógłby odtworzyć dźwięk syreny lub innego alarmu przy maksymalnej głośności, aby zwrócić uwagę i wezwać pomoc ze strony innych osób w pobliżu. W obu przypadkach maksymalne natężenie dźwięku byłoby emitowane niezależnie od aktualnych ustawień głośności. Prócz sygnału dźwiękowego, zgłoszony patent opisuje także możliwość emitowania własnego nagrania głosowego informującego np. o chorobie użytkownika i sposobie postępowania. W obecnych czasach podróże zagraniczne nie są czymś wyjątkowym i także to zostało uwzględnione w systemie. Dzięki preinstalowanym nagraniom w różnych językach, np. angielskim, hiszpańskim, niemieckim i francuskim, właściciel iPhone'a posiadałby możliwość wezwania pomocy także w obcym kraju.

Urządzenie wykrywałoby wypadki samochodowe za pomocą modułu GPS i akcelerometru. Gdy samochód, a tym samym znajdujący się w jego wnętrzu iPhone, przyśpieszy w stosunku do punktu odniesienia, system zostanie automatycznie aktywowany i jeżeli dojdzie do nagłego hamowania, stwierdzi, że ma miejsce potencjalny wypadek.

Aby system nie klasyfikował sytuacji przypadkowego upuszczenia telefonu, napotkania jeleni na drodze czy reakcji spanikowanych użytkowników jako zagrożenia, niepotrzebnie wzywając pomoc, istniałaby możliwość odwołania alarmu w zdefiniowanym czasie.

Firma Apple, tak jak i inni producenci, zgłasza projekty rozwiązań, które kończą jedynie na papierze. Duża ich część jest abstrakcyjna, dlatego pozostają tylko ciekawostką lub próbą blokowania konkurencji. Mam nadzieję, że opisany powyżej patent nie skończy w archiwach urzędu patentowego, ponieważ, jak chyba żaden inny, służy i chroni.

Fotografia: materiały Apple

komentuj

Widokówki do siebie

Kinga Zielińska



O minionych wakacjach przypominają nam różne rzeczy - chińskie pamiątki, kamyki z plaży, mandat, cynamonowe ciasteczka, podwyższona waga, piasek w butach (mimo że trzepaliśmy je już tyle razy) oraz.. zdjęcia. Fotografie z wakacji stanowią świadectwo tego, że naprawdę na nich byliśmy (teraz już nawet pieczątka w paszporcie nie jest pewna), to swoiste dowody dla rodziny, znajomych, że zobaczyliśmy ciekawe miejsca i w końcu wypoczęliśmy.





W takim razie może warto przed wyjazdem przygotować nie tylko krem do opalania, ręcznik kąpielowy i wygodne buty, ale też odpowiedni sprzęt fotograficzny? Dlatego co wyjazd zadaję mężowi podobne pytanie - czy spakował już swój ekwipunek? Jest to pytanie retoryczne, bo zawsze musi dołożyć do za małego już od dawna plecaka jakiś obiektyw, filtr albo kartę. W moim przypadku sprawa jest prosta - nigdy nie ogarniałam tych wszystkich puszek, stałek, żylet i mydeł, częściowo z braku wiedzy, ale i też z czystego lenistwa, spowodowanego tym, że obok mam obeznanego z tym wszystkim fotografa. To, czego osobiście potrzebuję do szczęścia na wakacjach, to dobra pogoda, interesujące towarzystwo, ciekawe miejsca, no i.. iPhone. Smartfon Apple, poza byciem doskonałym telefonem, jest również świetnym aparatem fotograficznym, co już zostało udowodnione wiele razy. Oczywiście jednak nawet najlepsze urządzenie pod słońcem, wraz ze swoją całą „inteligencją", sprytem, szafirowymi soczewkami i najbardziej wyszukanymi algorytmami poprawy ujęć, nie da nam 100% pewności, że zdjęcia będą chociażby dobre. Sam fotograf musi mieć pomysł, dobre oko, wyczucie sytuacji i trochę pewności siebie. To frazes, ale prawdziwy zawsze i wszędzie, bez względu na to, czy mamy w ręku Hasselblada, Leikę, smartfona czy małpkę za 200 zł.

Nie wiem jak Wam, ale mi na takich wyjazdach ta pewność siebie zawsze się podnosi. Tubylcy są przeważnie przyzwyczajeni do aparatów i nie czują się nimi skrępowani. Zapytani o zgodę (a nawet bez niej) chętnie pozują. Na wakacjach sami turyści są również bardziej wyluzowani i otwarci na nowe formy aktywności, co w całości sprzyja eksperymentom. Jeśli więc ktoś chciałby poćwiczyć fotografię uliczną, to naprawdę warto zrobić to na urlopie, nawet gdzieś w przerwach między kolejnymi zdjęciami krajobrazów i zabytków. Natomiast tak jak przy fotografii ulicznej do upolowania ciekawego „street modela" wystarczy goły, nieuzbrojony smartfon, tak już do uwieczniania krajobrazów, zabytków i trudno osiągalnych przedstawicieli lokalnej fauny i flory warto użyć teleobiektywu, który optycznie zbliży nas kilkukrotnie do fotografowanego obiektu. Dlatego przed samym wyjazdem stanęłam przed dylematem: kupić nowe makro czy teleobiektyw z filtrem polaryzacyjnym? Wybrałam to drugie i... jestem bardzo zadowolona. I to nie tylko przy robieniu zdjęć oddalonych, interesujących obiektów, gdzie rozmycie krawędzi kadru daje

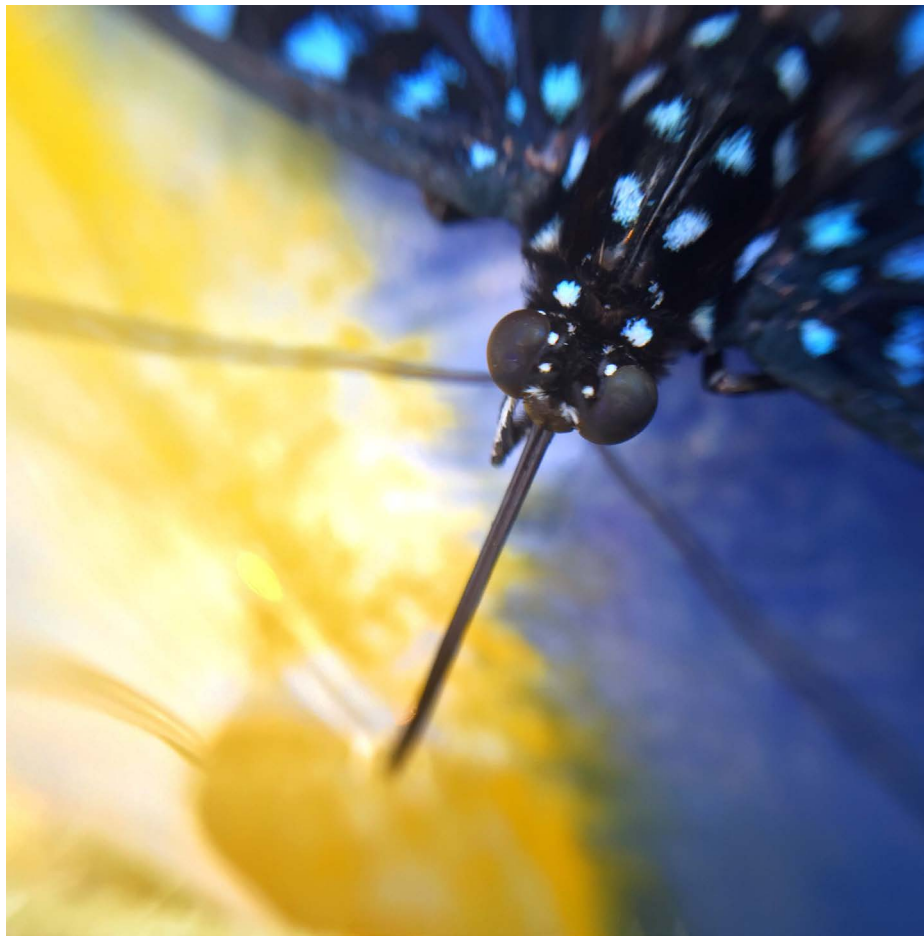


delikatny efekt użycia lustrzanki z zoomem (z uwagi na uzyskaną w ten sposób wciąż nieosiągalną w malutkim obiektywie smartfona płytką głębię ostrości), ale również przy krajobrazach, które mimo rozmiaru widzę nagle jak na dłoni.

Sam obiektyw na telefonie wciąż wzbudza spore zainteresowanie otoczenia. Zarówno w kraju, jak i za granicą, nadal nie jest to tak popularny sposób robienia zdjęć, by uznać go za codzienność. Zdarzyło mi się, że gdy nakładałam teleobiektyw, ludzie przystawali i patrzyli z minami „ale o co chodzi?". Jest to trochę zaskakujące, ponieważ asortyment i dostępność sprzętu do fotografii mobilnej jest za granicą bardzo duża, np. na promie można było zaopatrzyć się w selfie-stick, a w sklepach Netto w różne obiektywy i statywy. Jednak powiedzmy sobie szczerze, że przeciętny, niezafiksowany na punkcie iphoneografii turysta nie ma pojęcia, że poza aparatem wbudowanym w telefon istnieje cokolwiek, czym można go ulepszyć lub zmodyfikować. Dużym zaskoczeniem podczas ostatnich wakacji było dla mnie rów-

nież to, że telefonami fotografują też starsi ludzie. Kilka razy byłam świadkiem sytuacji, gdy starsza pani ustawiała się z telefonem, instruując swojego modela, jak ma stanąć do super zdjęcia. Po pstryknięciu słyszałam komentarz „no fajnie, wyślę zaraz córce". Co to znaczy? Może to, że robienie zdjęć telefonem jest naprawdę łatwe, a jego kompaktowość i poręczność to na wakacjach duży plus. Ja też znajduję się trochę na miejscu tej pani, tyle że zdjęć nie wysyłam córce, tylko mamie, która jednak nie używa ani smartfona, ani komputera, ani tabletu. Hmm, to gdzie je wysyłam? Otóż podarowałam jej specjalną, podpiętą na stałe do internetu fotoramkę, na którą wysyłam zdjęcia jej wnuka bawiącego się na plaży, ścieżki w lesie, którą właśnie idziemy oraz mnie w.. przymierzalni w nowym ciuchu („mamo, jak wyglądam?"). Po kilku sekundach od wysłania z iPhone'a na ramce pojawia się obraz, którym chcę się podzielić - bez względu na to, czy jestem 5, 100 czy 5000 km od niej.

Wracając jednak do przydatnych na wakacjach akcesoriów - kolejne z nich to filtr polaryzacyjny, który dobrze sprawdza się przy wielu okazjach. Przy słonecznej pogodzie pozwala zwiększyć kontrast ujęcia, uniknąć nadmiernie rozświetlonych obszarów (tzw. przepaleń) i wysycić kolory nieba, zieleni, morza, piasku, skał. Jednym słowem wszystkiego, co odbija światło, którego w takie dni jest zbyt wiele, by poradziła z nim sobie nawet najbardziej zaawansowana automatyka smartfona. Z kolei przy pochmurnej pogodzie to magiczne szkiełko redukuje niemal do zera odbicia nieba w tafli wody, szybach i nadwoziach aut czy witrynach sklepowych, powodując, że zamiast niepożądanych refleksów, na zdjęciach zobaczymy faktycznie to, co chcieliśmy sfotografować. W moim zestawie znalazł się też obiektyw makro, który świetnie sprawdza się przy fotografowaniu tubylczych robali (jeśli ktoś lubi) albo ziaren piasku na plaży, czyli przy fotografii artystycznej przez duże A ;).



Świetnym narzędziem jest też tryb poklatkowy aparatu, który często uruchamiałam zarówno przy dziecku, jak i zwierzakach (ptaki, motyle). Dziesięć klatek na sekundę (w przypadku iPhone'a 6) niemal gwarantuje, że nawet najruchliwszy obiekt da się złapać w wymarzonym kadrze. Byłam jednak świadkiem sytuacji, gdy pewien pan robił uparcie poklatkowe zdjęcia.. armacie stojącej w tym samym miejscu od 300 lat. Najwyraźniej był nią poruszony ;).

Ostatnim, choć wcale nie najmniej ważnym na wakacjach dodatkiem, w który warto zaopatrzyć się przed wyprawą, jest power bank. Nie ma chyba nic bardziej irytującego niż rozładowana bateria aparatu w chwili, która najprawdopodobniej już nigdy się nie powtórzy. Na dwie osoby lubiące spędzać cały dzień poza domem i mobilny router wifi z modemem 3G polecam power bank o pojemności minimum 10 000 mAh z dwoma szybkimi gniazdami USB 2.1A. Warto mieć też przy sobie zapasowy nowy przewód USB, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy aktualny wyzionie ducha. Taki zestaw pomoże nie tylko nam, ale czę-



sto uratuje „życie” jakiemuś przypadkowemu mniej zaradnemu turyście z iPhonem.

Sami widzicie, że nie trzeba zbyt wiele, żeby dobrze bawić się fotografią wakacyjną, bo nawet bez tych wszystkich dodatków wciąż możemy robić świetne zdjęcia bez potrzeby obcierania karku półtorakilogramową lustrzanką.

Nie wiem, czy to kwestia miejsca, chwili czy nastroju, ale widząc tyle ciekawych miejsc i możliwych ujęć, czasem mam ochotę w ogóle nie chować aparatu. Wtedy przychodzi mi do głowy pewna myśl - nie zwiedzaj i nie podziwiaj tylko przez sam obiektyw, ale spójrz na to, co cię otacza swoimi oczami. Wiem, że taki mały, zwinny, łatwy w obsłudze sprzęt kusi, by fotografować nim wszystko wokół, ale czy naprawdę warto tracić te wszystkie prawdziwe chwile na poszukiwanie w kieszeniach telefonu, dobór odpowiedniego obiektywu i kadrowanie? Najpiękniejsze obrazy zobaczymy nie przez szklane oko, tylko nasze własne. Wspomnień z wakacji nie da się sfotografować - można je tylko zobaczyć.

Fotografie: archiwum autorki






R14


Canon



Dyskretny urok polaroidów

Daniel Światły



Na łamach magazynu MyApple pięknie dla Was o fotografii mobilnej pisze Kinga Zielińska. Czasem jednak obszary tematyczne łączą się, zazębiają i przenikają. Szczególnie teraz, w środku sezonu urlopowego, gdy możemy poświęcić więcej czasu temu, co lubimy i co nas interesuje. Nadarza się więc okazja, by wymienić poglądy. Albo inaczej: przedstawić swój punkt widzenia. Bo skoro wszyscy w redakcji używamy iPhone'ów, a kilkoro z nas robi zdjęcia, energia tego tematu niejako wisi w powietrzu i czeka, by się do niej podłączyć.

Kolekcjonujemy wspomnienia. Złe odsuwamy na bok, i choć niechętnie do nich wracamy, staramy się przekształcić je w mądrość i doświadczenie. Dobre zaś pielęgnujemy w pamięci. Mamy różne sposoby, by wspomnienia ożywiać, pobudzać, odświeżać. Zbieramy listy, pamiątki, bibeloty. Prowadzimy dzienniki. I robimy zdjęcia.

Polaroid poprzez błyskawiczność i niski koszt fotografowania pozwalał na celowanie obiektywem gdzie bądź. Nawet najbardziej banalne ujęcie stawało się elementem magii wspomnienia, dokumentem przeżycia.

Jeszcze niedawno fotografowanie miało otoczkę tajemnicy i smak niepewności. Trzeba było odczekać chwilę, by dostać do ręki wywołaną kliszę i przygotowane odbitki. Ich oglądanie dawało radość, ale często też przynosiło odrobinkę rozczarowania. Oj, to był taki fajny moment, ale zdjęcie nie wyszło. A teraz, tutaj, później nie można go zrobić jeszcze raz, inaczej, lepiej.

Do Polski nigdy w pełni nie dotarła moda na aparaty Polaroida, pozwalające na niemal natychmiastowe uzyskanie fotografii, naświetlające obrazki z pominięciem kliszy, bezpośrednio na specjalnych papierkach. Aparat wysuwał je z charakterystycznym brzęczeniem, wystarczyło złapać za narożnik i przyglądać się z uwagą, jak stopniowo pojawiają się detale i nabierają konturów, kolorów,



wyrazistości. Po pięciu minutach zdjęcie gotowe. A ten proces wpatrywania się z wypiekami na twarzy w papierek był niemal magiczny, niepowtarzalny. Niczym rodzinny, przyjacielski, miłosny rytuał. Stawał się nieodłączną częścią wspomnienia, jak same fotografie na charakterystycznych papierkach z ramką. Polaroidach. Nie wiem, co zdecydowało o „kultowości" polaroidowej fotografii. Czy ramki, czy specyficzne barwy i niska rozdzielczość. Czy też owa błyskawiczność. Krótki, niby taki sam, ale zawsze niepowtarzalny i właściwy tylko dla danego przeżycia proces machania papierkiem, by prędzej pojawił się na nim obrazek (wierzono, że machanie ma taki wpływ; nie ma). Cokolwiek było tym decydującym składnikiem, spowodowało, że polaroidy stały się zapiskami z życia czynionymi „na gorąco". Bez ciężaru odpowiedzialności za drogi sprzęt, negatyw i czas konieczny, by zdjęcie prawidłowo naświetlić, a potem uzyskać dobrą odbitkę. Polaroid poprzez błyskawiczność i niski koszt fotografowania pozwalał na celowanie obiektywem gdzie bądź. Nawet najbardziej banalne ujęcie stawało się elementem magii wspomnienia,



dokumentem przeżycia. Przedłużało trwającą chwilę o ten króciutki moment wyłaniania się polaroidowego obrazka.

Dziś sprzęt i papierki Polaroida interesują tylko artystów i zapaleńców. Doświadczenie kilku minut oczekiwania, aż dojrzeje zdjęcie na papierku, odeszło do lamusa całej gamy emocji retro, takich jak przekładanie czarnej płyty na drugą stronę albo wczytywanie gry z magnetofonu Atari. Wydawać by się mogło, że czar prysł i nikt za nim specjalnie nie tęskni. Przecież jest era cyfrowej fotografii. Zdjęcia są widoczne natychmiast. Gdy nie wyjdą, można je powtórzyć. A koszt wykonania jest znikomy. Za odbitki trzeba zapłacić, ale na papier trafia jedynie ułamek fotografii. Coraz rzadziej zresztą, bo funkcję tradycyjnych zdjęć w stojących ramkach przejmują tapety na ekranach smartfonów.

A skoro już o smartfonach mowa... Cyfrowe aparaty fotograficzne przyniosły komfort błyskawicznego przeglądu zrobionych zdjęć, nadal jednak pozostał problem doboru sprzętu. Jego klasy, ceny, wagi i przeznaczenia. Tym sa-



mym więc odpowiedzialności za zdjęcie. Paraliżującej świadomości, że pewnych rzeczy nie wypada fotografować drogim aparatem lub odwrotnie – tematy wydają się zbyt poważne, by do nich podchodzić ze sprzętem tanim. Jest jednak jedno narzędzie, które zwykłego użytkownika uwalnia od tego typu rozterek. To smartfon. W zjawisku fotografii mobilnej przetrwał tajemniczy duch polaroidowych zdjęć. Owszem, nie ma rytualnego wyłaniania się obrazu na papierku. Jest jednak misterium dokumentacji złapanej chwili, która trwa. W której jeszcze jesteśmy, właśnie ją przeżywamy. Fotografia mobilna łapie owo „tu i teraz" lepiej niż jakakolwiek inna. Nie liczy się sprzęt, znaczenie ma tylko to, co widzimy, odczuwamy i fotografujemy. Może czasem polaroidowo nieporadnie, niedoskonale, ale za to niezwykle subiektywnie. Nie w artystycznym sensie, choć nie mam wątpliwości, że mobilne zdjęcia mogą być i bywają sztuką. W sensie spojrzenia, które indywidualnie uchwycone może być cenne, jak wspomnienie, któremu towarzyszy.

Fotografuję od lat. Każdemu wyjściu, wycieczce, wyjazdowi towarzyszyło pytanie: jaki wziąć sprzęt. A przeglądowi zdjęć po powrocie do domu - rozterki: mogłem zrobić to i to inaczej, innym obiektywem i aparatem. Złe to myśli i niepotrzebne frustracje, jeśli impulsem dla fotografowania była przyjemność budowy archiwum wspomnień, a nie praca zarobkowa. Parę lat temu przestałem się przejmować i zacząłem robić zdjęcia wyłącznie iPhonem. Mogłem skupić się tylko na tym, co przeżywam i chcę uwiecznić. Odnaleźć czystą inspirację i ją utrwalić. Nie modyfikować jej, nie poddawać analizie, co zrobić i jak, by zdjęcie było lepsze, bo zobowiązuje sprzęt lub posiadana wiedza o fotografii. Wyłączam ją, odsuwam i nagle zdjęcia smartfonem mają magię spontanicznej chwili, magię polaroida. Magię tego, że zaraz mogę je obejrzeć na małym ekraniku, z kimś lub sam. Wysłać do rodziny lub znajomych. Na lata zapisać stopy zanurzone w jeziorze, gdy siedziałem na molo. Ławkę na deptaku. Takich ławek są tysiące, ale przecież ta jedna jest ważna, bo nasza. Pęknięte okulary przeciwsłoneczne, kolorową piłkę na trawie, rower porzucony na skraju łąki...

Smartfon pozwala fotografować banał. Ten banał, który tworzy niepowtarzalny walor wspomnień. I będę się upierał, że możemy robić zdjęcia lepszymi aparatami, bardziej zawodowo, ale to właśnie fotografie ze smartfona mają urok dawnych polaroidów. Urok beztroski.

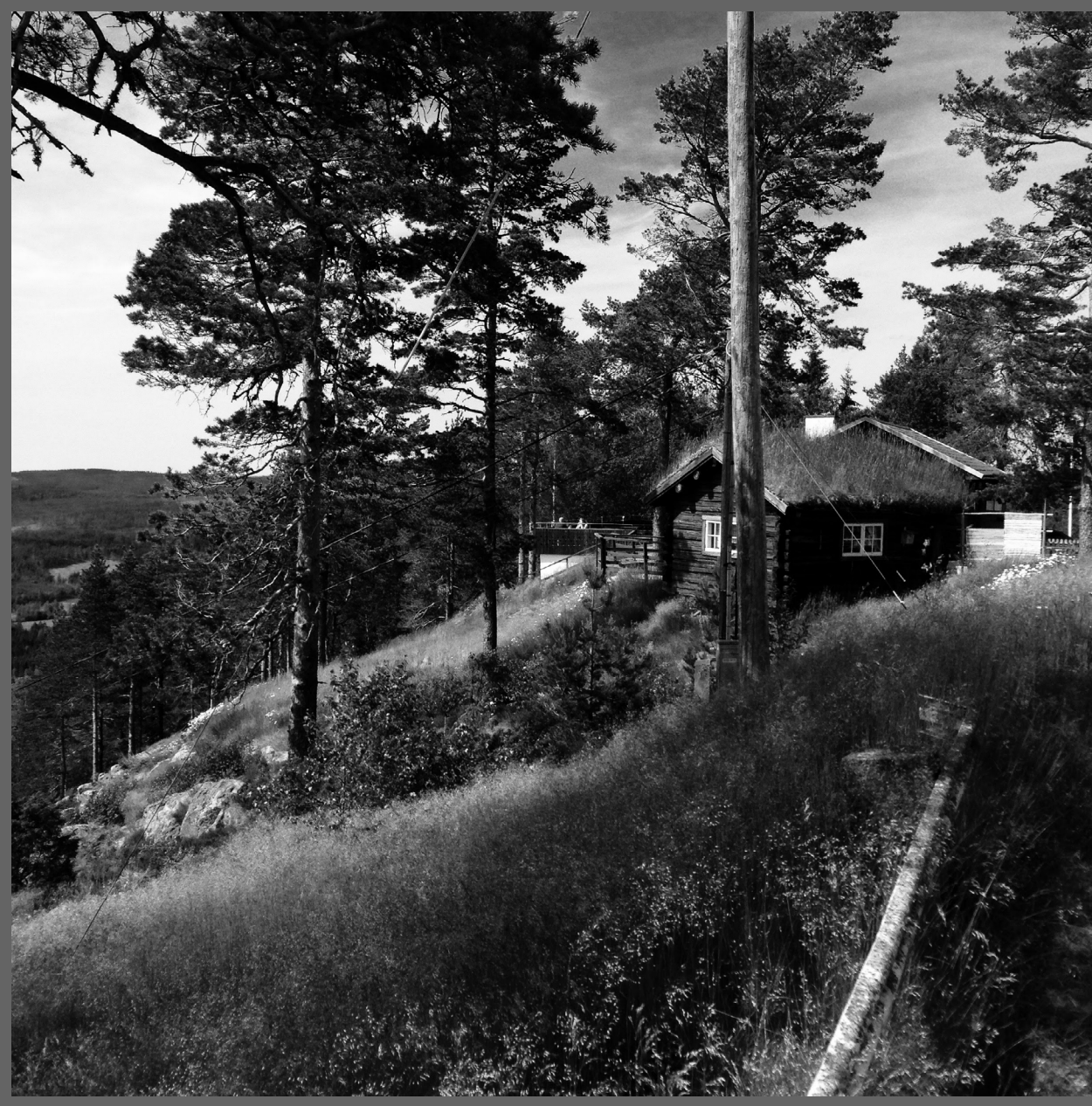
Nie mam też żadnej dodatkowej aplikacji fotograficznej. Bo po co? Na tym polega beztroska, by nie silić się na efekt. Domyślny aparat w iPhonie ma aż nadto opcji. Jak niegdyś różne rodzaje papierków.

Fotografie: archiwum autora

komentuj


ART







Moja prywatna spowiedź,

czyli historia pewnej fotografii

Jaromir Kopp

Był rok 2009, początek czerwca, gdy zadzwonił do mnie kolega i powiedział: „Jaromir, twoje zdjęcie wisi w Rynku!”. Tak mnie to zaskoczyło, że zanim zapytałem o szczegóły, zrobiłem w myślach rachunek sumienia.

Na szczęście okazało się, że moja podobizna nie znajduje się na liście gończym, ale na jednym ze zdjęć z wystawy „Wrocław ’89. Ostatni rok Peerelu”, którą przygotował Wrocławski Ośrodek Pamięć i Przyszłość. Zaintrygowany postanowiłem wybrać się na nią osobiście. I było warto.

Na wystawie znalazły się fotografie pochodzące z 1989 roku zrobione we Wrocławiu. Tematyka zdjęć była przeróżna. Od scen z życia codziennego, jak kolejki do sklepów, uliczni handlarze czy koncerty, po zdjęcia barykad, demonstracji i nielegalnych wieców Solidarności. Ja znalazłem się na fotografii zrobionej we wrześniu ’89 na giełdzie komputerowej organizowanej przez AZS przy Politechnice Wrocławskiej.

> Wyobraźcie sobie, że państwowe radio nadawało całe płyty bez przerw i to informując dokładnie o czasie ich trwania, aby słuchacze mogli przygotować magnetofony do nagrywania!



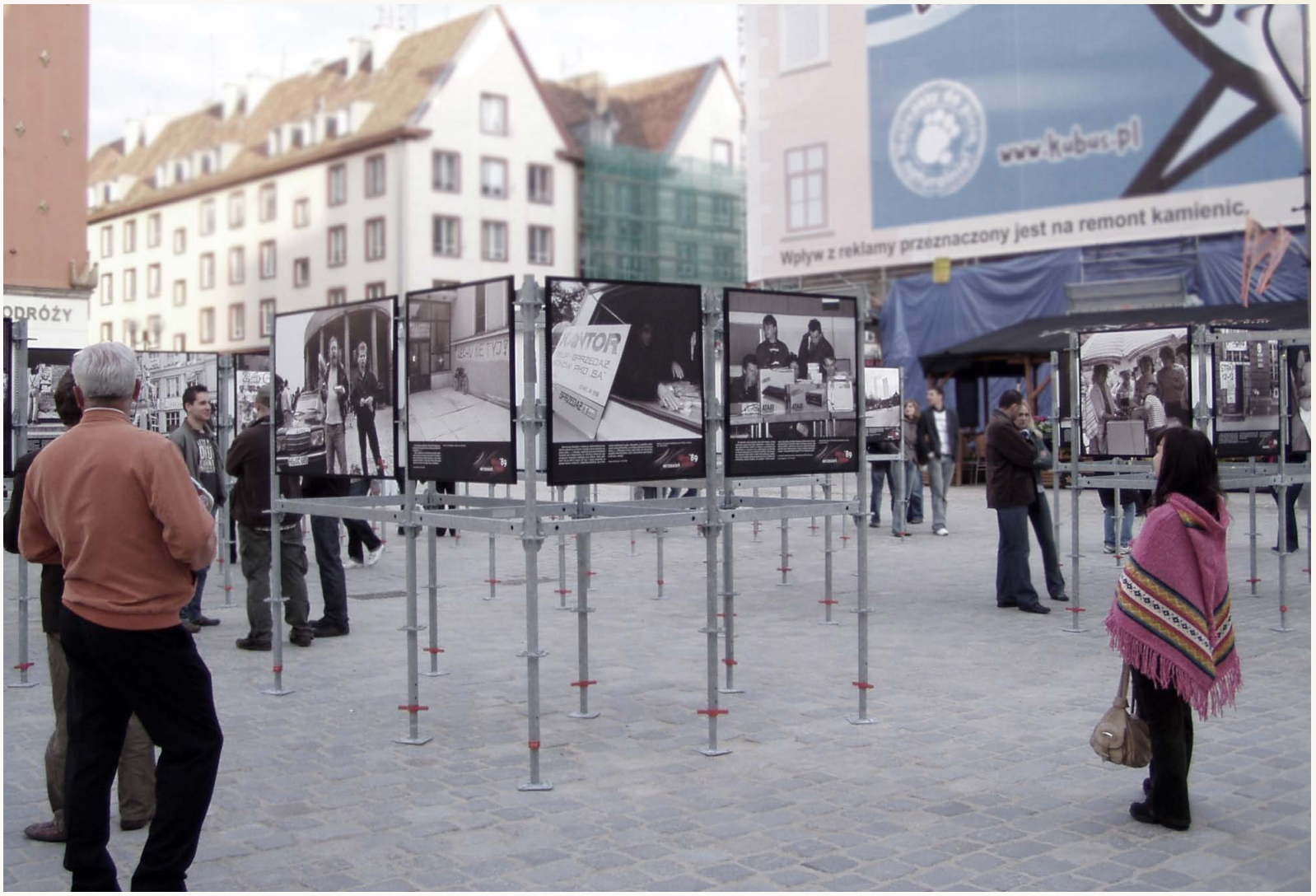
Jak w socjalizm wkradał się kapitalizm.

Giełda komputerowa to był jeden z wielu dziwnych tworów, przez które do socjalistycznego społeczeństwa przenikały kapitalistyczne dobra. Na giełdzie można było kupić „zachodnie” komputery i osprzęt do nich. Były to czasy rozkwitu sprzętu 8–bitowego. O portfele i kredyty z Kas Zapomogowo–Pożyczkowych walczyły najczęściej ZX Spectrum, Atari 800XL czy 65XE, Commodore C64, ale również i inne mniej popularne systemy. Pomału pojawiały się też 16–bitowe Atari ST i Amigi oraz klony PeCetow XT i AT.

Gdy w 1985 roku wybłagałem u moich rodziców zakup komputera Atari 800XL, kosztował on około 90 000 zł , czyli jakieś półroczne zarobki mojego Taty. Ciekawostka: w 1989 roku ceny sprzętu na giełdzie podawano już tylko w dolarach amerykańskich lub markach niemieckich. Spowodowane to było ogromną, ponad 600% inflacją.
Ale nie tylko po sprzęt się na giełdę chodziło. Każdy, kto był już w posiadaniu jakiegoś komputera, musiał nakarmić go oprogramowaniem, a zwłaszcza grami. Przypomnę, że wtedy internet w Polsce nie istniał, a w Europie był głównie akademicką ciekawostką.

I tu zaczyna się moja „spowiedź”.

U progu demokracji, gdy panowała jeszcze „komuna” - choć jej terror powoli malał i wodzowie partyjni, ratując budżet, pozwalali na pewne rodzaje działalności gospodarczej - pojęcie własności było bardzo opacznie rozumiane. W przypadku dóbr materialnych jeszcze jakoś funkcjonowało, choć wielu ludzi uważało, że to co w „zakładzie pracy”,



to wspólne i można podkraść lub zniszczyć. Jednak społeczeństwo nie rozumiało, co to są prawa autorskie, a złe przykłady szły „z góry". Wyobraźcie sobie, że państwowe radio nadawało całe płyty bez przerw i to informując dokładnie o czasie ich trwania, aby słuchacze mogli przygotować magnetofony do nagrywania! W takim to otoczeniu niestety i ja nie pojmowałem, że program nie jest czymś darmowym, a autor czy wydawca powinien za jego stworzenie otrzymywać stosowną zapłatę.

„Legalne" piractwo na masową skalę, czyli jak rodziły się fortuny.

I w takich to warunkach koło 1986 roku ze znajomymi zacząłem handel oprogramowaniem na giełdzie. Było nas trzech... ja miałem przerobiony zwykły magnetofon, aby współpracował z Atari (magnetofony kasetowe były najpowszechniejszym rodzajem pamięci masowej), jeden z kolegów miał stację dyskietek (były dużo droższe od komputerów), a drugi uzupełniał naszą bazę programów.

Aby dostać lepsze miejsca na giełdzie (początkowo znajdowała się ona w przystani AZS nad Odrą), musiałem wstać o 6:00 w niedzielę, ponieważ pierwsze 5 osób, które pomagały przy rozkładaniu stanowisk, otrzymywało w zamian stoliki na parterze.

Poza sprzętem należało mieć spis oferowanych programów i jakieś narzędzia marketingowe. My stosowaliśmy bambusową wędkę z kartonem i napisem „Programy na Atari". Zainteresowany klient zamawiał jakąś pozycję z listy, zostawiał kasetę (znacznie rzadziej dyskietkę 5,25") i wracał za jakiś czas. Za skopiowanie programu z naszej „bazy" uiszczał stosowną opłatę. Aby nie wypaść „z obiegu", systematycznie należało wybierać się po „świeży towar" np. do Warszawy.

Na giełdzie wyraźnie dawało się zauważyć podział na „biznesmenów” i „entuzjastów”. Z tych pierwszych narodziło się kilka fortun i znanych firm działających do dziś. Ja należałem do „entuzjastów” i choć z tego procederu miałem zarobek, to pożytkowałem go, aby zaspokoić narastające potrzeby sprzętowe. Już wtedy byłem „gadżeciarzem”.
„Biznesmenów” od „entuzjastów” łatwo było odróżnić, bo ci drudzy nie chronili tak swoich nowości i wymieniali się zdobytą wiedzą. Ci pierwsi robili natomiast wszystko, aby potęgować zysk.

> Nie kontrolowano legalności oprogramowania, ale czy czerpiący zyski z piractwa odprowadzają podatki. Ja też - choć byłem nastolatkiem - musiałem zarejestrować się w Urzędzie Skarbowym i prowadzić zeszycik z przychodami...

Oczywiście przypominam, że za ten naganny proceder obecnie groziłyby bardzo duże grzywny, a nawet wyroki więzienia!

Złodziej złodziejowi wilkiem.

Bardzo ciekawym i wręcz kuriozalnym zjawiskiem był wyścig systemów zabezpieczeń przed kopiowaniem. I chodzi tu o zabezpieczenia, jakie stosowali „piraci”, nagrywając klientom programy ze swoich zbiorów. W przypadku stacji dyskietek Atari obowiązkowym wyposażeniem pirata giełdowego był moduł „Happy Warp” lub podobny, służący do rozkodowywania zabezpieczonych dyskietek i zakładania zabezpieczeń na „przegrywane” programy. Przy okazji zwiększał on znacznie prędkość i pojemność i tak już szybkiej stacji Atari 1050. Największą furorę na giełdzie zdobył jednak system „Enigma”. Służył on do zabezpieczania programów nagranych na kasety. Dzięki niemu „z trudem zdobyte dobro” w postaci nowości nie rozpowszechniało się tak bardzo wśród konkurencji, a i zwykli użytkownicy nie byli wstanie „dzielić” się oprogramowaniem między sobą. Złamanie „Enigmy” zajęło sporo czasu, a aplikacja do odkodowywania jej zabezpieczeń była mocno strzeżona i dość trudna w użyciu.

Państwo też chciało mieć swój udział w piractwie.

Kolejnym dziwactwem tamtych czasów były urzędowe kontrole na giełdzie. Nie kontrolowano legalności oprogramowania, ale czy czerpiący zyski z piractwa odprowadzają podatki. Ja też - choć byłem nastolatkiem - musiałem zarejestrować się w Urzędzie Skarbowym i prowadzić zeszycik z przychodami oraz odprowadzać od nich podatek.

Nie jestem dumny z tego, co robiłem i mam do teraz moralnego kaca, ale prawie nikt nie miał pełnej świadomości naganności takiego postępowania przed 1990 rokiem.

Teraz, gdy każdy użytkownik Apple dostaje wraz ze sprzętem bogaty pakiet programów, ma dostęp do ogromnej ilości darmowych pożytecznych narzędzi, a inne są zazwyczaj tanie, to kradzież aplikacji nie tylko jest łamaniem prawa, ale wręcz głupotą. Nie każdy musi mieć przysłowiowego „Photoshopa”, większości z nas wystarczy Pixelmator.

Zdjęcia pochodzą z wystawy „Wrocław ’89. Ostatni rok Peerelu” Ośrodka Pamięć i Przyszłość.

komentuj

Danie z drobiu

podane w nowy sposób

Krystian Kozerawski



Jest pewien rodzaj gier typu „side scroller”, które bardzo lubię. Są to pozycje dość mroczne, w których bohater musi pokonać najeżoną śmiercionośnymi pułapkami trasę. Majstersztykiem tego gatunku jest bez wątpienia gra Limbo. Wspomnę też o popularnej i stosunkowo często aktualizowanej Badlands, w której naszym zadaniem jest przeprowadzenie przez pełen pułapek las dziwnego ptaka lub innego stworzenia latającego. W App Store właśnie pojawiła się kolejna tego typu gra i do tego stworzona w Polsce. Mowa o Red Game Without a Great Name.





Faktycznie, tytuł nie mówi za wiele o grze, zdradza jedynie kolorystkę, w jakiej utrzymana jest w większości jej grafika - ognistą i krwistą czerwień. W grze tej naszym zadaniem jest przeprowadzenie przez blaszany świat, pełen ogrodzeń z drutu kolczastego, stalowych bram i innych pułapek, małego, mechanicznego (jak mniemam) gołębia pocztowego.

Przyznam, że kiedy zobaczyłem gołębia i przesuwającą się od prawej do lewej krawędzi ekranu trasę upstrzoną pułapkami, pomyślałem, że oto mamy kolejną grę taką samą jak Badlands czy Limbo. Jedyną drobną różnicą w tym wypadku było sterowanie. Podczas gdy w Badlands ruch ptaszka - machanie skrzydłami i lot w górę - powodowało dotknięcie ekranu, w Red Game Without a Great Name przeciągamy blaszanego gołębia palcem we wskazane miejsce. Wydawać by się mogło, że ta z pozoru drobna różnica nie wniesie nic nowego, a jednak odmienia ona już ten trochę skostniały gatunek.

Blaszany gołąb, poza bezwiednym lotem naprzód, przemieszcza się w sposób przypominający trochę teleportację - po prostu znika z jednego i pojawia się w innym miejscu. Wystarczy przytrzymać na nim palec i przeciągnąć we wskazane miejsce. Przydaje się to w omijaniu przeszkód. Kiedy taką napotka, po prostu się zatrzymuje lub ginie - jeśli jest to drut kolczasty, kolce czy inne śmiercionośne pułapki. Śmiercią kończy się także pozostanie w miejscu, które zniknie za boczną krawędzią ekranu (przypominam, że trasa cały czas przesuwa się w którymś z kierunków).



Wspomniany sposób sterowania wcale nie jest łatwy. Widać to zwłaszcza w sytuacjach, w których trzeba teleportować gołębia w wąską, ograniczoną drutem kolczastym przestrzeń, a następnie przenieść go w inne miejsce (celem zebrania punktowanych przesyłek). Zwykle wtedy gra się dla mnie kończy.

Na naszego gołębia czekają także rury, z których wydobywają się opary o nieustalonym składzie, ale wiadomym działaniu - po dostaniu się w ich zasięg ptak zmienia kierunek lotu. Na trasie spotkać może on także specjalne środki kruszące na moment skały, które można następnie rozbić, by znaleźć bezpieczną, pozbawioną pułapek przestrzeń.

Red Game Without a Great Name nie jest pozycją wybitnie rewolucyjną. Ważne jednak, że jej twórcy potrafili znaleźć swój sposób, by przyrządzić to danie w sposób inny niż dotąd, zachowując wszystkie ważne elementy potrzebne w tym gatunku.

Gra - ze względu na poziom trudności poszczególnych etapów oraz zastosowany sposób sterowania, a także dobrą muzykę i grafikę - po prostu wciąga. Wspomnieć też wypada, że w jej zwiastunie wykorzystano motyw przewodni utworu „Maszynka do ćwierkania" Czesława Mozilla. Może nie usłyszymy go w samej grze, ale dobry zwiastun jest ważnym elementem promocji każdego tytułu.

Gra Red Game Without a Great Name dla iPhone'a i iPada dostępna jest w App Store w cenie 2,99 €: **sprawdź**

Ilustracje: na podstawie grafiki do gry „Red Game..."

komentuj

szybka

szybka

.net

serwis autoryzowany

SzybkaSzybka.net

Największa sieć
pogwarancyjnych napraw sprzętu Apple

AUTORYZOWANY SERWIS
MyApple
www.MyApple.pl

już 40 000 napraw!

Zapraszamy za dwa tygodnie

MyApple magazyn